

BEST  SELLERS

ANNE STUART

ZOOM LENS FF-S 18-55mm 1:3.5-5.6

WIDOWA

φ58mm



NEW YORK TIMES  
BESTSELLING AUTHORS



*Sentine*



BEST SELLERS



WYDAWNICTWO MIRA  
PASJA CZYTANIA KAŻDEGO DNIA

***WIDOWA***



# ANNE STUART

## WDOVA

Przełożyła:  
Klaryssa Słowiczanka

Tytuł oryginału:

*The Widow*

Pierwsze wydanie:

MIRA BOOKS, 2001

Redaktor prowadzący:

Mira Weber

Korekta:

Mira Weber

© 2001 by Kristine Stuart Ohlrogge

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o. Warszawa 2003, 2006

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak graficzny BESTSELLERS jest zastrzeżony.

Arlekin Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.  
00-975 Warszawa, ul. Rakowiecka 4

Skład i łamanie:

COMPTEXT®, Warszawa

Printed in Spain by Litografia Roses, Barcelona

ISBN 83-238-1734-0

## PROLOG

Aristide Pompassé stał przy oknie w sypialni swojego pięknego florenckiego mieszkania i obserwował zalaną słońcem ulicę.

Czuł się całkiem zadowolony z życia. Cóż, miał ku temu powody. Był jednym z największych współczesnych artystów, sławnym, powszechnie cenionym malarzem, gwiazdą na artystycznej scenie, ulubieńcem krytyków. Jego obrazy sprzedawano na aukcjach za miliony dolarów. Prawda, że od kilku lat nic nie stworzył. Nie mógł malować, bo stracił swoje źródło inspiracji, swoje natchnienie. Stracił swoją muzę. Bez niej nie potrafił stanąć przy sztalugach. Bez niej on, wielki Pompassé, był nikim, żalonym starcem, którego opuścił talent.

Jednak wkrótce miało się to zmienić. Ona wróci. Wiedział, że wróci, był tego pewien jak niczego innego w swoim bogatym życiu. Poczył już odpowiednie przygotowania.

Powinien był wcześniej zrozumieć, jak bardzo jej potrzebuje, niestety nie rozumiał. Należał do licznego grona egotyków, ludzi tak bardzo pochłoniętych sobą, że świetnie funkcjonowali bez innych ludzi. W każdym razie trwali w takim złudzeniu, aż wreszcie poznawali smak prawdziwego cierpienia. I wtedy wszystko się zmieniało.

Jemu, przywykłemu do myśli, że jest pępkiem świata, bardzo długo nie mieściło się w głowie, że ktoś mógł go opuścić z własnej woli, że ktoś w ogóle mógł chcieć go opuścić. Jak to możliwe, zostawić Pompassé'a? Zrezygnować z życia u jego boku, nie kąpać się w jego blasku?

Dziwne, wręcz niepojęte. Tak w każdym razie myślał do niedawna.

Teraz, kiedy wreszcie rozumiał, jak bardzo jej pragnie, jak bardzo jest mu potrzebna, wręcz niezbędna, odzyska ją bez większego trudu. I znowu zacznie malować.

Że też przed laty nie zadbał o ten szczegół. Taka trywialna kwestia, a on dał się ponieść starym sentymentom.

Zupełnie niepotrzebnie. Już wiedział, że postąpił absurdalnie.

Ktoś mógłby zarzucić mu próżność, ale on nie mógł się z tym zgodzić. Nie jest próżny, z całą pewnością nie. Po prostu od momentu, kiedy po raz pierwszy wziął do ręki pędzel, wiedział, że talent wymaga ofiar.



Nawet jeśli ofiary ponosili inni, a zwykle tak bywało, powinni się cieszyć, że padają na ołtarzu wielkiej sprawy, jaką było genialne malarstwo Aristide'a Pompassé'a.

Kiedy Charlie dowie się, co zrobił z myślą o niej i jak wiele dla niej poświęcił, ani chwili nie będzie się wahać z podjęciem decyzji. Inaczej być nie może. Wróci, z całą pewnością wróci, i od tej chwili wszystko znów będzie jak dawniej.

Jak przed laty...

Omiótł wzrokiem stare, pełne antyków, tchnące przemyślaną elegancją wnętrze. Charlie będzie się lepiej czuła tutaj, we Florencji, niż w starej willi na wsi. Tam było za dużo wspomnień i zbyt wiele osób wokół. To męczące otoczenie dla wrażliwej, zamkniętej w sobie kobiety.

Właśnie z myślą o niej kupił mieszkanie w mieście. Umieści ją tutaj, z dala od wścibskich oczu, złych języków, domowych intryg snutych przez jego dawne kochanki. Będzie ją miał tylko dla siebie. I już nigdy nie pozwoli jej odejść.

Charlie...

Charlie i on, tylko we dwoje.

Spojrzał na obraz wiszący nad kominkiem. Było to jedno z jego najlepszych dzieł.

Kiedy Charlie wróci, będzie mógł zacząć wszystko od nowa. Była jego natchnieniem, jego światłem, promienistym drogowskazem, a on

okazał się na tyle dufny, tak bardzo zajęty sobą i pracą, że nie potrafił tego dostrzec.

Od pierwszej chwili, ledwie ją zobaczył, wiedział, że musi ją mieć. Za wszelką cenę. Dopóki z nim była, wszystko szło wspaniale, wszystko układało się po jego myśli.

Minęło pięć lat, a on ciągle nie mógł pojąć, że odeszła. Jak mogła? Dlaczego to zrobiła? Obsypywał ją pieniędzmi, wspaniałymi klejnotami, miała wszystko, o czym mogła marzyć młoda kobieta. Ale Charlie obojętnie przyjmowała prezenty. Dobra materialne nie robiły na niej żadnego wrażenia, jakby ich nie dostrzegała. Jakby nie miała żadnych potrzeb.

Taka była Charlie.

Rozsławił jej wizerunek na całym świecie, unieśmiertelnił ją przez swoją sztukę. Koneserzy, krytycy, kolekcjonerzy, kuratorzy największych muzeów, właściciele znanych galerii, wszyscy oni znali twarz Charlie.

Nigdy jej nie uderzył, nigdy nie uciekł się do przemocy. Nie miałby jej za złe, gdyby brała sobie kochanków, z całą pewnością nie. Był gotów zgodzić się na wszystko, przyjmując każdy warunek, który Charlie postawi. Chciał tylko jednego. Żeby znowu z nim była.

Ona wróci, był tego pewien.

Pompasse nie widział jej od lat. Jaka jest teraz? Na pewno silniejsza i pewniejsza siebie, bardziej

świadoma własnej wartości, ale nawet taka, od-  
mieniona i z większym bagażem doświadczeń,  
nie oprze mu się, nie odrzuci wyciągniętej ręki.  
Jego męski urok przeszedł już do legendy. Będzie  
ją kusił, oczaruje jak niegdyś, i Charlie wróci.

Wróci.

Rozdzwoniły się wszystkie dzwony we florenc-  
kich kościołach. Spiżowe dźwięki niosły się po-  
nad miastem. Jego ukochana Florencja. Jego  
miejsce na ziemi.

Pompasse był co prawda Francuzem, ale w głę-  
bi duszy czuł tajemne pokrewieństwo z mistrzami  
włoskiego Renesansu. Miał Toskanię we krwi,  
rozkochał się w jej kulturze.

To tutaj przecież powstały niedościgłe arcy-  
dzieła. Michał Anioł, Leonardo da Vinci, Botti-  
celli, oni wszyscy pochodzili z Toskanii i tworzy-  
li we Florencji, stąd ruszali na podbój całych  
Włoch, a potem Europy. Stąd, z Toskanii, pro-  
mieniowała wielka sztuka piętnastego i szesnast-  
tego wieku, której patronowali najwięksi mece-  
nasowie tamtych czasów, potężny ród Medyceu-  
szów.

Ponad dachami miasta Pompasse widział srebr-  
zącą się w oddali wstęgę Arno, która przecinała  
miasto, oraz stare mosty przerzucone przez rzekę.  
Od wieków spinały oba brzegi. Teraz patrzył na  
najpiękniejszy z nich, zwany Ponte Vecchio.

Punkt druga.

To znaczy, że rzecz powinna się już dokonać. Decyzja została podjęta. Klamka zapadła. *Finito*, jak powiedzieliby Włosi. Przychodzi *nuova apertura*, czyli nowe otwarcie.

Trzeba to koniecznie uczcić. Musi wypić kieliszek wina za swoje nowe życie. Pompasse energicznie ruszył w kierunku schodów. Krok miał sprężysty, lekkość w sercu.

Stało się, zaczynał wszystko raz jeszcze, od początku. Z Charlie. Jakżeby mogło być inaczej? Czuł się znowu młody, nienasycony, pełen wigoru, wiary i entuzjazmu. Znowu będzie malował, znowu zaczął powstawać wspaniałe, podziwiane przez wszystkich obrazy.

Tak, będzie malował. I będzie żył wiecznie.

Pogwizdywał sobie cicho pod nosem wesołą włoską melodię. Już dawno tego nie robił, bo od lat nie czuł takiej lekkości w duszy. Nagle zamilkł, melodia urwała się gwałtownie. Pompasse zatrzymał się u szczytu schodów i znieruchomiał.

Stała na dole, czekała na niego. Ostatnia osoba, którą spodziewał się zobaczyć.

I wtedy zrozumiał z porażającą jasnością, jaka spływa na człowieka, kiedy przychodzi mu żegnać się ze światem, że nie będzie żył wiecznie. Że zaraz umrze.

Na wielkiego Pompasse'a przyszedł czas śmierci, przekreślając wszystkie jego nadzieje. Cudowne, przyprawiające o zawrót głowy nadzieje,

marzenia, którymi karmił się tak długo. Uczynił wszystko, by się spełniły.

Teraz musiał zapłacić ostateczny rachunek.

Śmierć przyszła, by się z nim rozliczyć. Przyjmie ją, pomyślał z pokorą. To takie dziwne, w ostatnich chwilach życia doświadczyć pokory. Dotąd nie wiedział, co to słowo oznacza.

Teraz zrozumiał jego sens. Podobnie jak zrozumiał w jednym oślepiającym przeblysku, czym jest bolesny smak końca, absolutnego, nieodwracalnego finału.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Connor Maguire pasjami lubił zaczynać dzień od znajdowania trupów. Wprost przepadał za tym zajęciem. Pierwsza kawa, poranna gazeta, a potem jakiś trup.

Włamał się do apartamentu, żeby przeprowadzić dyskretne rozpoznanie, a natknął się na zwłoki właściciela mieszkania, sławnego Aristide'a Pom-passe'a, największego z żyjących malarzy.

Żyjących?

Niekoniecznie. W każdym razie jeszcze mniej więcej przed godziną, według pobieżnej oceny Maguire'a, a trochę się na tym znał, można go było zaliczać do istot żywych, lecz teraz już raczej nie. Koniec, kropka. Nieodwołalne są wyroki losu, pomyślał sentencjonalnie.

Nie musiał wcale odznaczać się darem szczególnej przenikliwości, żeby stwierdzić oczywiste fakty.

Przez długie lata był korespondentem wojennym. Był na Bliskim Wschodzie, w Afryce, w Kosowie... Chyba łatwiej mógłby wymienić fronty, z których przesyłał reportaże, niż te, na które z jakichś powodów, zwykle od niego niezależnych, nie dotarł. Wiele widział, zbyt wiele, i potrafił odróżnić żywych od umarłych, a Pompassé z całą pewnością liczył się między sztywnych, acz całkiem od niedawna. Maguire cicho zamknął za sobą drzwi apartamentu i oparł się o nie z ciężkim westchnieniem.

– Cholera – zaklął pod nosem, z niejasnych powodów kontentując się tylko tym słowem.

Zwykle, kiedy był wzburzony, kiedy działo się coś złego, zupełnie się nie hamował, tylko nabierał powietrza w płuca i bluzgał ostro i kwieciście, aż uszy więdły.

I po chwili czuł ulgę.

Przekleństwa pomagały mu znosić koszmary, z którymi na co dzień stykał się w swojej pracy. Dopóki, oczywiście, był korespondentem wojennym. Dlatego właśnie zrezygnował. Nie wytrzymał. Coś w nim pękło, po prostu się wypalił. Pozostał co prawda dziennikarzem, ale zajął się zupełnie innymi sprawami. Chciał zapomnieć o toczących się na świecie wojnach, które zdawały się nie mieć końca. Ledwie jedna wygasła, gdzieś natychmiast pojawiał się nowy konflikt, zarzewie nowych tragedii, nowych nieszczęść.

Sytuacja, jaką zastał w domu wielkiego malarza, domagała się znacznie mocniejszych słów, ale te jakoś nie przychodziły mu do głowy. Nic zresztą dziwnego, bowiem myśli Maguire'a bez reszty zajęte były paskudnym szambem, w które właśnie wdepnął.

Zamierzał napisać książkę tysiąclecia, kompendium wiedzy wszelakiej. To był jego wielki cel hołubiony od wielu miesięcy.

Przez ostatnich pięć lat zajmował się produkcją tekstów dla tygodnika „Starlight”, międzynarodowego, dobrze znanego i jeszcze lepiej sprzedającego się brukowca, który należał do Marka Gregory'ego.

Pompasse miał być dla Maguire'a nie tylko źródłem zarobku, choć oczywiście pieniądze były ważne, ale wręcz jego *raison d'être*, jego motorem działania. Liczył, że wydobywając na światło dzienne pikantne, skandaliczne, skrzętnie ukrywane szczegóły z życia artysty, znacząco zasili swój portfel, ale przede wszystkim ucieknie ze znienawidzonego świata mediów.

Od kilku miesięcy z pracowitością godną lepszej sprawy gromadził wszelkie, nawet najtrudniej dostępne i skrywane przed światem materiały na temat starego malarza. Tylko tym żył.

Chciał napisać dla Gregory'ego cykl artykułów o Pompasie, potem zrobić na tej podstawie książkę, raz na zawsze zamknąć europejski roz-



dział swojej działalności i wrócić wreszcie do rodzinnej Australii. Potem zamierzał spokojnie żyć z procentów, najlepiej gdzieś za miastem, na farmie, i odcinać kupony od dotychczasowych, a w ostatnich czasach bardzo wątpliwych „dokonań” dziennikarskich.

Zamknąć raz na zawsze europejski rozdział? Zdecydowanie tak.

Raz na zawsze skończy z tym wszystkim, co od dawna go mierzilo.

Ciało malarza znalazł zaraz po włamaniu się do domu, na marmurowej posadzce w holu, u podnóża schodów prowadzących do sypialni. Zimne jak marmur truchło o szeroko otwartych, pustych oczach. Ani śladu krwi.

Przykucnął obok nieboszczyka. Nie miał ochoty go dotykać. Oczywiście nie z powodu szczególnego przeczulenia na kontakt z trupami. Nie wzdragał się, kiedy stykał się ze śmiercią, dawno już uodpornił się na podobne widoki, przywykł do nich, znieczulił się. Lata spędzone w biznesie dziennikarskim i na różnych frontach wojennych skutecznie stępiły jego wrażliwość.

Im lepiej, im dogłębniej i dokładniej poznawał przeszłość Aristide’a Pompassé’a, jego życie, charakter, obyczaje, sposób obchodzenia się z ludźmi, a już szczególnie z najbliższymi osobami, tym większej nabierał dla tego człowieka pogardy, wręcz fizycznej odrazy.

Może jednak w biednej, zeszmacoonej, zdawałoby się wypalanej do cna duszy cynika poniewierały się jednak jakieś resztki dawnego, przez lata zapomnianego idealizmu?

Może.

Pompasse z całą pewnością zasłużył sobie na to, co go spotkało. Maguire'owi było wszystko jedno, kto zabił starego capa, chyba że miałoby to wpłynąć na wysokość nakładu „Starlight”, a potem książki. A wiedział doskonale, że będzie musiało wpłynąć. Pompasse był naprawdę wielką postacią i budził żywe zainteresowanie czytelników. Należało to wykorzystać.

Bowiem śmierć, jak wiadomo, jest niezwykle popłatna. Dobrze sprzedaje się w mediach, lepiej niż cokolwiek innego. Wie o tym każdy reporter, każdy prezenter wiadomości i każdy właściciel gazety czy stacji telewizyjnej.

Zawodowa ciekawość wzięła górę i po chwili wahania Maguire położył jednak dłoń na szyi starego. Zimna, zwiotczała, pomarszczona skóra. Może jednak malarz umarł wcześniej niż przed godziną? Maguire spojrział na kręte, strome schody, które prowadziły do sypialni na piętrze.

Pompasse mógł potknąć się i spaść, szczególnie jeśli wypił o ten jeden feralny kieliszek wina za dużo. Zakręciło mu się w głowie, źle postawił stopę, stracił równowagę i poleciał na złamanie karku, w czarną otchłań, na spotkanie śmierci.

Marne życie, marny koniec.

Maguire przysiadł na piętach i wyciągnął z kieszeni papierosa. To między innymi lubił we Włoszech... a lubił w tym słonecznym kraju wiele rzeczy: włoskie kobiety, włoskie niebo, włoską kuchnię, pogodnych ludzi... przede wszystkim jednak lubił to, że mógł palić, gdzie mu się żywnie podobało, pewnie i w samym Duomo, jeśli strzeliłoby mu do głowy, żeby wejść z papierosem do górującej nad dachami miasta wspaniałej florenckiej katedry zwieńczonej jeszcze wspanialszą kopułą, zaprojektowaną przez renesansowego architekta Filippa Brunelleschiego.

We Włoszech nikt się nie boczył na człowieka z papierosem w ustach i nie wygłaszał śmiertelnie nudnych kazań na temat szkodliwości palenia. Włosi mieli zrozumienie dla ludzkich słabości, potrafili traktować je z niespotykanym gdzie indziej pobłażaniem.

Zaciągnął się głęboko i dmuchnął dymem w zastygłą twarz starego. Tak, to musiał być nieszczęśliwy wypadek. Cóż by innego? Prosta sprawa, proste wyjaśnienie.

Dlaczego zatem, do jasnej cholery, ledwie spojrzął na zwłoki, natychmiast pomyślał o morderstwie? A nie o owym prostym wyjaśnieniu?

Podniósł się gwałtownie i spojrzął na swoje dłonie. Dostać się do apartamentu nie było trudno. Nie miał żadnych oporów, wszedł pewnie jak

do własnego mieszkania. Był przekonany, że Pompasse jest w swojej wiejskiej willi pod Florencją, na obrzeżach niewielkiego, pamiętającego średniowieczne czasy miasteczka Geppi.

Szukał kompromitujących materiałów. Szczególnie zależało mu na dziennikach, które stary prowadził od wielu lat i w których pisał o swoich obrazach i modelkach, a zapewne też, na co szczególnie liczył Maguire, o przygodach miłosnych, z których przez długie lata słynał. Nazwiska, pikantne szczegóły...

Były tego całe tomy: Pompasse podobno dokumentował sumiennie, choć poza tym sumienny nie był, każdy, nawet najdrobniejszy szczegół swojego życia. Gdyby udało się do nich dotrzeć... Jednego tylko Maguire nie przewidział, a mianowicie że zamiast znaleźć upragnione dzienniki, natknie się na zimnego trupa.

Przyglądał się zwłokom i chłodno kalkulował, jakie znaczenie i jaką wartość może mieć dla niego to ponure odkrycie. Z jednej strony martwy Pompasse był, co było zrozumiałe samo przez się, o niebo wdzięczniejszym tematem dla mediów niż Pompasse żywy. Trup sprzedawał się lepiej, a Maguire chciał sprzedawać dużo i drogo.

Skandaliczne romanse malarza, jeśli tylko by je wydobyć na światło dzienne – a dlaczego nie? – powinny przynosić naprawdę niezłe dochody przez kilka najbliższych lat. Co najmniej przez

kilka lat... Dobrze rzecz rozegrać i Maguire byłby zabezpieczony do kresu swych dni.

Z drugiej jednak strony wcale nie było mu w smak, że znalazł się na miejscu zbrodni. Wiele osób bowiem wiedziało, że nie darzył szczególną sympatią starego sukinsyna, który leżał teraz bez życia na marmurowej posadzce w holu swojego mieszkania.

Pompasse stosunkowo szybko zorientował się, że Maguire węszy wokół niego, i próbował przez swoich prawników za wszelką cenę przystopować Marka Gregory'ego.

Właściciel „Starlight” nie uległ naciskom, nie przejął się pogrozkami, ale wszyscy wokół wiedzieli o wrogich nastrojach panujących między redakcją międzynarodowego brukowca i mocno rozsierdzonym niezdrową dziennikarską dociekliwością malarzem, który nie życzył sobie, by ktokolwiek szperał w jego życiu prywatnym.

Nie miałyby to żadnego znaczenia, gdyby Pompasse po prostu spadł ze schodów i skręcił sobie kark, ale Maguire wcale nie był o tym przekonany. Wręcz przeciwnie, bo kiedy od dłuższej chwili wpatrywał się w leżące na posadzce zwłoki, ogarniały go najgorsze przeczucia. Chciał jak najszybciej umknąć z tego przeklętego, przypominającego grobowiec mieszkania, nie pozostawiając przy tym śladu swojej obecności.

Był dziennikarzem od piętnastu lat, od momentu

skończenia studiów, i boleśnie przekonał się, że nie wolno ignorować instynktu samozachowawczego. Wsłuchiwał się w jego sygnały i dlatego z daleka nieomylnie wyczuwał i śmierć, i zbrodnię.

Mógłby się założyć, że w tym wypadku chodziło o zbrodnię, mimo że nie znalazł w domu Pompasse'a żadnych śladów walki. Im szybciej się stąd wyniesie, tym lepiej. Ani myślał zawiadomić policję. Musi zachować jak najdalej posuniętą ostrożność i przezorność.

Obszedł szybko całe mieszkanie, utrwalając w pamięci każdy detal, a pamięć wzrokową miał doskonałą. W sypialni zobaczył niezasłane łóżko, nie potrafił jednak powiedzieć, czy spała w nim jedna, czy dwie osoby.

Wszędzie zatęchłe powietrze i przygnębiający zapach śmierci.

W kuchni zlew pełen brudnych naczyń, na desce do krojenia okruchy chleba i resztki sera. Pompasse albo dał wolne gospodyni, albo z niewiadomych powodów nie zawiadomił jej, że przybywa do miasta. Maguire zatrzymał się w salonie przed wielkim portretem.

Przedstawiał tę samą dziewczynę, co obraz wiszący w sypialni, niewielka akwarela w holu i szkic na galerii pierwszego piętra. Wpatrywał się w jej twarz jak zahipnotyzowany.

Młodziotka, prawie dziecko. Zwinięta w kłębek spoglądała na świat z nadzieją i hardością,

a delikatną twarz przesłaniały ciemne włosy. Znał ten obraz, od dawna przecież interesował się Pompassé'em. Dzieło z tak zwanego złotego okresu, czyli z najlepszych, najciekawszych i najbardziej płodnych lat w twórczości starego. Potem jego styl stał się surowszy, bardziej abstrakcyjny, trudno było rozpoznać kolejne modelki. Tę Maguire rozpoznawał, ale za nic nie mógł przypomnieć sobie jej imienia. Wiedział tylko, że to młoda żona Pompassé'a, jego muza i natchnienie.

Obszedł leżące w holu zwłoki. Szkoda, że nie miał przy sobie aparatu. Zwykle nie rozstawał się ze swoim sprzętem, ale przyszedł tutaj w poszukiwaniu dzienników malarza, skąd więc, u licha, mógł wiedzieć, że natknie się na coś, co warto będzie sfotografowania. Molly wstydziłaby się za niego, że okazał się tak nieprzewidujący. Rasowy reporter, ba, nawet najgorszy pismak pracujący dla najbardziej parszywego brukowca, powinien być zawsze przygotowany na wszelkie niespodzianki. To podstawowa zasada obowiązująca dziennikarza, który uważa się za profesjonalistę, a Maguire w dalszym ciągu tak mniemał o sobie.

Starannie wytarł klamkę brzegiem koszuli. Nie miał czasu na nic więcej. Powinien wyjść stąd możliwie jak najszybciej, zamiast zawracać sobie głowę zacieraniem śladów, których pewnie i tak nie zostawił, bo taki miał zawodowy nawyk.

Mimo to trochę się bał ewentualnych kon-

sekwencji, powtarzał sobie jednak, że policja nie będzie miała najmniejszych podstaw, by go podejrzewać. Prawda, Pompasse naraził mu się, próbując wpłynąć na Gregory'ego i zablokować publikację materiału na swój temat, ale to żaden powód do popełnienia zbrodni. Dziennikarz żyje ze śledzenia swych ofiar, a nie ich zabijania.

Dopiero kilkadziesiąt metrów od domu odechnął z ulgą. Nikt go nie widział. Szczęście mu sprzyjało. Nie miał sobie nic do wyrzucenia. Gardził starym, ale to nie znaczyło, że go zabił. Gardził wszystkimi, o których pisał.

Śmierć Pompasse'a mogła bardziej zaszkodzić jego książce, niż jej pomóc. To powinien być przekonujący argument, gdyby policja zaczęła się go czepiać. Nie ma Pompasse'a, nie będzie rynku na sensacyjną biografię.

Wiedział doskonale, że to nieprawda, ale co szkodziło wcisnąć kit, w razie gdyby jakiś gorliwy inspektor próbował dobrać mu się do skóry? Zawsze umiał wykręcić się z trudnych sytuacji, dlatego chodził jeszcze po tym świecie.

Zakładając, że nikt nie będzie go podejrzewał, a mógł to zakładać z dużą dozą prawdopodobieństwa, zamordowanie Pompasse'a spadło mu jak z nieba. Stary zasłużył sobie na śmierć, a książka powinna sprzedawać się jak ciepłe bułeczki, może nawet wejść na listę bestsellerów. Maguire był pragmatykiem.



Kawiarnia w pobliżu domu, w którym mieszkał, jak zwykle wczesnym popołudniem świeciła pustkami. Pora sjesty. Zdążył wypalić pół paczki papierosów. Przyrzekł sobie, że to ostatnia, kiedy stanęły mu przed oczami obrazy, które widział w apartamencie malarza.

Młoda żona... ciągle nie pamiętał jej imienia. Zostawiła Pompasse'a przed wielu laty, a może to on miał jej dość, trudno powiedzieć. Potem stary nie malował już kobiet o świetlistych oczach. Nie znalazł takiej jak tamta. Coraz młodsze modelki, a było ich bez liku, spoglądały z kolejnych płócien na widza wystraszonym wzrokiem.

Kto go zabił? Maguire mógłby iść o zakład, że jedna z kobiet, którymi stary zawsze się otaczał. Miał cały harem. W wiejskiej willi mieszkały obok siebie kochanki z różnych okresów, z różnych etapów życia Pompasse'a. Każda z tych wegetujących na marginesie istot miała liczne powody, żeby go ukatrupić.

Zgasił niedopałek i wyjął następnego papierosa. Za dużo palił, wiedział o tym, ale w tej chwili miał większe zmartwienia niż stan własnych płuc. Stawiałby na tę o złocistych oczach, wdowę po starym, madame Pompasse we własnej osobie. Mieszkała w Stanach, ale mogła przecież pojawić się we Florencji.

Jeśli ona to zrobiła, Maguire łatwo znajdzie dowody. W przeciwieństwie do policji, miał

absolutnie wolną rękę, nie krępowały go zasady, kwestie proceduralne, litera prawa. Sam był sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Nawet Gregory, choć płacił, nie mógł mu nic dyktować, co najwyżej w ograniczonym zakresie. Miałby piękny rozdział na zamknięcie książki. Epilog wielkiej biografii.

Skończy paczkę gitanów, dopije kawę, potem zadzwoni do szefa „Starlight”, a jutro może wreszcie rzuci palenie.

Charlotte Thomas zagniałała właśnie ciasto na chleb, kiedy usłyszała, że jej mąż nie żyje. A rano zdawał się taki spokojny, wręcz sielski.

W kuchni unosił się miły zapach drożdży i cynamonu. Palce rytmicznie wyrabiały miękką masę. Zza okna dochodziły rozmowy ptaków. Dla Charlotte przygotowywanie domowego chleba stanowiło swoistą formę medytacji. To był jej rytuał, cotygodniowe święto celebrowane zawsze z tym samym namaszczeniem.

Mieszkała w samym środku Manhattanu i samochody nawet o szóstej rano potrafiły zagłuszać ptasie trele, owe świergoty, ćwierkanie, gruchanie, krakanie. A jednak kiedy popadała w błogi nastrój, nie słyszała już wielkowiejskiego szumu, tylko ptaki, które lubiły przysiąść na gzymsach starej kamienicy na Wschodniej 73 Ulicy.

Gdyby włączyła radio, zapewne wcześniej dotarłaby do niej wiadomość o nagłej śmierci Pom-

passé'a. Ale nie włączyła, bo nie chciała, żeby zewnętrzna rzeczywistość wdzierła się do jej domu i mąciła święty „czas chleba”. Zagniała ciasto, zamykała oczy i wyobrażała sobie, że przenosi się gdzieś bardzo, bardzo daleko, do innego świata, lepszego od tego, w jakim od wielu lat przyszło jej egzystować.

Nie reagowała na natarczywe dzwonki telefonu, przechytrzyła ją jednak automatyczna sekretarka. W kuchni rozległ się stoicki, arystokratyczny głos jej narzeczonego:

– Charlie, Pompasse nie żyje. Do zobaczenia.

Henry Richmond był jej co prawda bardzo oddany, jednak zdecydowanie brakowało mu wyobraźni i wrażliwości. Nagrał lakoniczną wiadomość, wiadomość, która miała odmienić całe jej życie, po czym najzwyczajniej w świecie odłożył słuchawkę, pewien, że we właściwy sposób wypełnił swoje zadanie. I już. Tak, Henry był nadzwyczaj sumiennym człowiekiem, przy czym traktował własną osobę i przypisane do tejże osoby obowiązki z niezwykłą wprost powagą.

Charlie przyjęła wieść obojętnie. Pompasse miał siedemdziesiąt trzy lata i kiepskie zdrowie. Lubił włoskie wino, mocne francuskie papierosy, dobre jedzenie. Wiódł leniwe życie sybaryty i nigdy nie dbał o siebie. Natomiast kiedy małował, zachowywał się jak człowiek opętany przez

swoje wizje, odnajdywał w sobie niezmożone siły, wracały mu młodość i energia.

Odkładał pędzle i znowu stawał się zrzedliwym starcem. A teraz nie żyje. Odszedł na zawsze. Pewnie zmęczone serce nie wytrzymało niefrasobliwego trybu życia, rozmyślała Charlie, nie przerywając tchnącego spokojem misterium wyrobienia chleba.

W fajansowej miseczce z Limoges leżały jej pierścionki, a miseczka stała na marmurowym blacie kuchennym, na którym Charlie zagniała ciasto. Spojrzała na żółty brylant. Dostała go od Pompassé'a w dniu ich ślubu. Miała wtedy zaledwie siedemnaście lat, tylko siedemnaście, on zaś dobiegał sześćdziesiątki.

Był dla niej wszystkim. Ojcem i opiekunem. Wielbił ją, adorował, potrzebował jej. Po latach tułaczki z matką, która nigdzie nie potrafiła zapuścić korzeni, Charlie miała wreszcie dom, zyskała tak potrzebne każdemu poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa. Choćby już tylko dlatego kochała starego Pompassé'a.

Gnieść chwilę, rozciągnąć, zlepzić, plasnąć o blat, odwrócić drożdżową bułę.

Rytmiczne, niemal bezwiedne, automatyczne, dobrze znane ruchy.

Znowu zaczną wydzwaniać dziennikarze. Nieustannie zmieniała numer telefonu. Nie znali jeszcze najnowszego, ale wiedziała doskonale, że

to tylko kwestia czasu. Zawsze potrafili ją wytropić. Jutro, pojutrze będą czekać przed jej restauracją, będą kierować na nią kamery, oślepią reflektorami, podtykać mikrofony. Największy współczesny malarz nie żyje. Co myśli na ten temat jego była żona, co czuje w tych jakże smutnych dniach?

Co myśli? Co czuje?

Nie chciała myśleć, nie chciała nic czuć. Jest przecież silna, wszystko potrafi przetrwać, z biegiem lat zdążyła nauczyć się tej trudnej sztuki, choć ciężka i żmudna to była nauka. Potrafi, jeśli trzeba, zapomnieć o bólu i zająć się zwykłymi codziennymi sprawami. Potrafi wyprzeć ze świadomości to, co trudne.

Obrócić, plasnąć, ugnieść. Prawie skończyła wyrabiać ciasto. Nie miała już ochoty odkładać go do misy, żeby wyrosło. Skończyło się misterium „czasu chleba”.

Będzie teraz musiała umyć ręce i wsunąć żółty brylant na serdeczny palec.

Kiedy zdecydowała się odejść od Pompasse’a, próbowała zwrócić mu pierścionek, ale go nie przyjął, odesłał z powrotem. Powtarzał, że należy do niej, że pasuje do jej złotych oczu. Nie miała wyjścia, zatrzymała klejnot. Nosila go przez wzgląd na męża, chociaż po rozstaniu nigdy więcej już go nie zobaczyła. Dzisiaj też nałoży żółty brylant. Zrobi to dla niego.

Drgnęła na dźwięk dzwonka telefonu i szybko

chwyciła słuchawkę. Pod drugiej stronie odezwała się matka.

– Słyszałaś już? – Chłodny, opanowany głos zza oceanu.

– Słyszałam – przytaknęła Charlie z tym samym chłodem. Dawno już się połapała, że tylko w ten sposób może uporać się z matczyną ekspansywnością.

– Przylatuję do Nowego Jorku. Będziesz mnie potrzebowała.

– Nie będę. – Jakby kiedykolwiek w czymś mi naprawdę pomogła, pomyślała Charlie z pełną goręczy niechęcią.

Olivia z całą pewnością nie była osobą, którą człowiek chciałby mieć przy sobie w trudnych chwilach. Nigdy nie wybaczyła córce, że to za jej sprawą wreszcie uświadomiła sobie, jak puste jest jej życie, jak bardzo jałowe, powierzchowne i pozabawione jakiegokolwiek głębszego sensu.

Nie wybaczyła także tego, że Charlie odeszła od Pompassé'a. Może przede wszystkim tego, że odeszła od Pompassé'a.

– Chcę być na mszy za jego duszę, Charlie. Msza w Nowym Jorku, pogrzeb w Toskanii – tłumaczyła jak na nią wyjątkowo cierpliwie. – W La Colombali. Przyjedziesz – raczej stwierdzała, niż pytała.

Olivia nigdy nie pytała, tylko narzucała z góry swoje zdanie innym. Nie interesowały jej odpowie-

dzi, nie potrafiła słuchać ludzi. Chyba nawet nie słyszała swoich słów, bo mówiąc bez przerwy, zagłuszyła również samą siebie. Roszczeniowa i apodyktyczna, widziała tylko własne drogowskazy.

Charlie stanął żywo w pamięci obraz wiejskiej willi. Czyste tokańskie niebo, niezwykle światło, zapach winorośli i rozgrzanego od słońca powietrza. Ogarnęły ją lęk i przemożna tęsknota. Nie potrafiła powiedzieć, które z tych odczuć jest silniejsze.

– Nie sądzę.

Może jednak lęk przed bolesną konfrontacją z przeszłością?

– Dziecinko, nie zapominaj, że jesteś jego ekszoną. I spadkobierczynią. To jednak do czegoś zobowiązuje, prawda? Jego prawnicy nie znają twojego adresu, nie wiedzieli, jak cię odnaleźć, ale skontaktowali się ze mną. Od nich wiem, że Pompasse nie zmienił testamentu. Ciągłe ważny jest ten, który został spisany jeszcze w okresie waszego małżeństwa.

– Niech to szlag.

– Cieszę się, że pieniądze tak mało dla ciebie znaczą. – W głosie Olivii dało się słyszeć lekkie rozbawienie. – Uwierz swojej matce, człowiek, żeby nie wiadomo ile miał dóbr, nie jest nigdy zbyt bogaty.

„Uwierz swojej matce”. Dobrze powiedziane. Nic dodać, nic ująć.

Charlie popełniła wiele błędów w swoim trzydziestoletnim życiu, ale tego jednego nigdy. Wcześniej rozumiała, komu mogła wierzyć, lecz niestety Olivii Thomas nie było wśród tych wybranych osób. Taka była smutna prawda.

– Jest wczesny świt, mamó. Dosłownie przed chwilą dowiedziałam się o śmierci Pompassé’a. Henry przekazał mi wiadomość. Zadzwoń do mnie za kilka godzin, bardzo proszę, wtedy będziemy mogli spokojnie pomówić o...

Swoim zwyczajem Olivia nie dała jej dokończyć zdania.

– Dzwonię z lotniska, mam już bilet, jestem po odprawie. Mój samolot startuje za kilkanaście minut. Porozmawiamy w Nowym Jorku, skarbie. Będę przy tobie – zapewniła ze stosownym do okoliczności patosem i rozłączyła się, zanim córka zdążyła zaprotestować.

Charlie powoli odwiesiła słuchawkę. Zagniecione ciasto chlebowe nadal leżało na marmurowym blacie. Okrągła, pulchna buła. Wyrzuciła ją ze złością do kosza na śmieci i umyła ręce.

Wytarła je w fartuch i sięgnęła po pierścionki. Jako ostatni wsunęła na palec skrzący się świetlistymi refleksami żółty brylant. Wpatrywała się przez długą chwilę w klejnot pustym, niewidzącym wzrokiem.

I dopiero teraz z jej oczu popłynęły łzy.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Nie powinien był słuchać Gregory'ego. Rzadko słuchał innych i dobrze na tym wychodził. Wolał zdawać się na własną intuicję. Cenił ją sobie bardzo, podobnie jak niezależność i swobodę w podejmowaniu decyzji. Tym razem jednak właściciel „Starlight” pozostał nieugięty.

– Musisz lecieć do Nowego Jorku na mszę za Pompasse'a – upierał się. – Rozejrzysz się dyskretnie. Nikt przecież nie musi wiedzieć, kim jesteś. Oficjalny reportaż zrobią nasi chłopcy. Są już na miejscu. Ty zajmij się wdową, może pojawią się też byłe kochanki.

– A jeśli ktoś przypadkiem zapamięta moją twarz? Nie wpuszczą mnie potem do willi. Będę mógł zawiesić sprawę na kołku, czyli, mówiąc inaczej, będę spalony – próbował przemówić Gregory'emu do rozsądku.

– Nie wymagaj, żebym uczył profesjonalistę

jego fachu. Do diabła, jesteś starym wyjadaczem i potrafisz wejść wszędzie, gdzie zechcesz.

– Zamierzałem zaprezentować się jako przedstawiciel firmy ubezpieczeniowej Pompasse’a i tym sposobem dostać się do willi. Co taki lepek miałby robić na mszy w Nowym Jorku?

– Co się z tobą dzieje, na litość boską? Bierz się do roboty, człowieku. Czyżbyś się bał, że sobie nie poradzisz?

– Poradzę sobie – wycedził Maguire przez zęby. – Ale wyjazd do Nowego Jorku to tylko niepotrzebna strata czasu. Posłuchaj mnie, skoro uważasz, że jestem profesjonalistą.

– Nie zamierzam cię słuchać, profesjonalisto. Potraktuj to jako potrzebną stratę czasu. Pompasse był sławny, nie muszę ci tego chyba tłumaczyć. Na mszę zjadą się dziennikarze z całego świata, będą szukać materiału. My mamy już materiał. Pracujesz nad nim od kilku miesięcy, siedzisz w samym środku tej historii. Nie możemy pozwolić sobie na to, żeby ktoś sprzątnął ją nam sprzed nosa tylko dlatego, że nie chcesz lecieć do Nowego Jorku, bo ktoś może zapamiętać twoją twarz – irytował się Gregory, sapiąc głośno w słuchawkę, jakby zabrakło mu powietrza.

Maguire w końcu się zgodził. Trzymał się z boku i wszystko byłoby dobrze, gdyby w pewnym momencie wdowa nie podniosła wzroku i nie spojrzała mu prosto w twarz.

Natychmiast schował się za jeden z filarów dzielących nawy, a kiedy ostrożnie wychylił znowu głowę, zobaczył, że spuściła już oczy. Złociste, niezwykle i tajemnicze oczy, które tak dobrze znał z obrazów Pompassé'a.

Ogromny kościół był wypełniony po brzegi. Zebrali się żałobnicy, szukający sensacji i dreszczyku emocji gapie, paparazzi sprzedający zdjęcia temu, kto dawał lepszą cenę, reporterzy pracujący dla prasy brukowej tak jak Maguire. Mało prawdopodobne, żeby pani Pompassé zapamiętała w tym tłumie akurat jego twarz.

Wysłuchał cierpliwie kwiecistych, podniosłych mów pożegnalnych, bardziej stosownych dla Matki Teresy niż dla starego narcyza. Ciekawe, że nikt nie uрониł choćby jednej łzy. Nikt nie czuł potrzeby, by opłakiwać wielkiego Pompassé'a, nikt nie próbował nawet udawać smutku.

A już najmniej Connor Maguire.

Na przyjęciu po mszy był zaledwie kilka minut. Tak z przeczności, a on zawsze był przezorny. Wolał nie rzucać się w oczy, obawiał się spotkania twarzą w twarz z wdową, skoro później zamierzał do niej dotrzeć, podając się za kogoś, kto raczej nie miał powodów, żeby pojawić się na mszy żałobnej w Nowym Jorku.

Zatrzymał się jeszcze na chwilę przy zatłoczonym wejściu do „La Chance” i po raz ostatni

zerknął na Charlie Thomas. Nie mógł jej rozgryźć. Owszem, znał suche fakty. Wyszła za Pompassę'a, gdy miała siedemnaście lat, a zostawiła go po ośmiu latach małżeństwa i rozpoczęła nowe życie. Przyjechała do Nowego Jorku i otworzyła restaurację, która z punktu zdobyła ogromną popularność.

Pani Thomas-Pompassę sama zapracowała na swój sukces. Robiła wrażenie osoby spokojnej, stanowczej, umiejącej decydować o sobie, a przy tym łagodnej, kruchej i kompletnie odebranej od rzeczywistości. Zaiste, dziwna kombinacja.

Był ciekaw, które z tych biegunowo różnych cech bardziej waży na jej osobowości: siła czy kruchość? W tej chwili wyglądała jak otulona lodowym płaszczem Królowa Śniegu. Czego trzeba, żeby rozbić zimną powłokę?

W odczuciu Charlie najgorsze było przyjęcie, nie msza i nawet nie natrętni do granic wytrzymałości, wszechobecni paparazzi.

– Moja dzielna dziewczynka. – Henry poklepał ją delikatnie po dłoni. – Potrafiłaś zachować kamienny spokój. Obserwowałem cię. Znakomicie się trzymałaś przez cały czas. Jestem z ciebie naprawdę dumny.

„Dzielna”, „znakomicie”, „dumny”.

Charlie uśmiechnęła się z przymusem. Przy

usposobieniu Henry'ego takie słowa to już prawdziwa wylewność.

Przyjęcie można było uznać za udane, jakżeby zresztą mogło być inaczej, skoro zostało urządzone w „La Chance”, restauracji należącej do Charlie. Maurice naprawdę przeszedł samego siebie, przygotowując zimny bufet.

Tak, przyjęcie byłoby bez wątpienia całkowicie udane, gdyby nie ludzie, którzy płaszczyli się przed Pompasse'em za życia, a teraz bezlitośnie go obgadywali. Jedli, pili i zerkali ukradkiem w stronę Charlie. Dopóki nie narzucali się z nachalnymi pytaniami i ograniczali do kilku słów współczucia, niewiele sobie robiła z ich pokątnych spojrzeń. Wspierana przez Henry'ego jakoś powinna przetrwać ciągnący się w nieskończoność dzień.

Matka rozmawiała z kimś w drugim końcu sali. Odrzuciła właśnie do tyłu wystudowanym gestem płomiennie rude włosy. Wyglądała wspaniale, jak zwykle. Całą swoją energię wkładała w to, żeby zawsze wyglądać wspaniale. Ciekawe, czy zrobiła sobie kolejną operację plastyczną, przemknęło Charlie przez głowę.

Nie odziedziczyła po matce legendarnej urody i uważała to za błogosławieństwo, rodzaj ochronnej powłoki. Tak w każdym razie myślała do momentu, kiedy poznała Pompasse'a. Ten zaś wolał subtelność niż ostentacyjne, obezwładnia-

jące piękno. Przepadła wtedy z kretesem, straciła ochronną powłokę, czy też raczej on ją zniszczył.

Nie, małżeństwo z Pompasse'em nie było przegraną, napomniała się ostro i zacisnęła kurczowo palce na ramieniu Henry'ego. Gniotła jego elegancki garnitur, ale Henry, oczywiście, nie odsunie się, nie zwróci jej uwagi.

Henry, dżentelmen doskonały, zawsze, w każdej sytuacji.

W przeciwieństwie do Pompasse'a, który potrafił awanturować się o byle głupstwo.

Mądrze wybrał, żeniąc się właśnie z nią. Obcowanie z matką nauczyło ją radzić sobie z nieznośnymi, apodyktycznymi ludźmi o wybuchowych temperamentach. Mogła się uważać za eksperta w tej materii. Przy historycznej Olivii Pompasse wydawał się łagodnym barankiem, choćby tylko dlatego, że w przeciwieństwie do jej rodzonej matki po prostu ją kochał.

Henry też ją kochał, na swój stateczny, pełen godności sposób. Uosabiał wszystko, czego oczekiwiała od mężczyzny: czułość, urok osobisty, wyrafinowany smak, dojrzałość. Wspierał ją, kiedy potrzebowała wsparcia, pozwalał rozpostrzeć skrzydła, kiedy potrzebowała swobody.

Zdejmie w końcu z palca żółty brylant i nałoży stary wenecki pierścionek z perłą, który Henry kupił po miesiącach poszukiwań, aż znalazł wresz-

cie klejnot godny jej delikatnej urody, jak to określił. Tym razem wyjdzie za człowieka tylko dwa razy od niej starszego.

– Pozwól mi jechać z tobą do Toskanii, kochanie – szepnął jej do ucha. – Chcę być przy tobie. To taka smutna, przygnębiająca podróż. Nie powinnaś być tam sama.

Charlie spojrzała w jego poważne, pełne szczerzej troski oczy.

– Mówiłam ci, że możesz przyjechać, jak tylko uda ci się wyrwać z Nowego Jorku, ale ja nie mogę czekać ani jednego dnia. Chcę natychmiast zająć się spuścizną malarską po Pompassie i przekazać ją we właściwe ręce. Rozdysponować zapisy testamentowe. Jestem mu to winna. Miałabym nieczyste sumienie, gdybym zwlekała.

– Tydzień możesz chyba poczekać? Kilka dni naprawdę niewiele zmieni. Twoja matka też z pewnością nie pojawi się wcześniej w La Colombali.

To był jeden z powodów pośpiechu. Olivia miała, jak zawsze, czas wypełniony po brzegi, a Charlie chciała trochę побыć w willi bez przytłaczającej obecności swojej rodzicielki.

Gdyby przyznała to głośno, z całą pewnością zgorszyłaby Henry'ego. Olivia go akceptowała i to mu w zupełności wystarczało. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że między córką